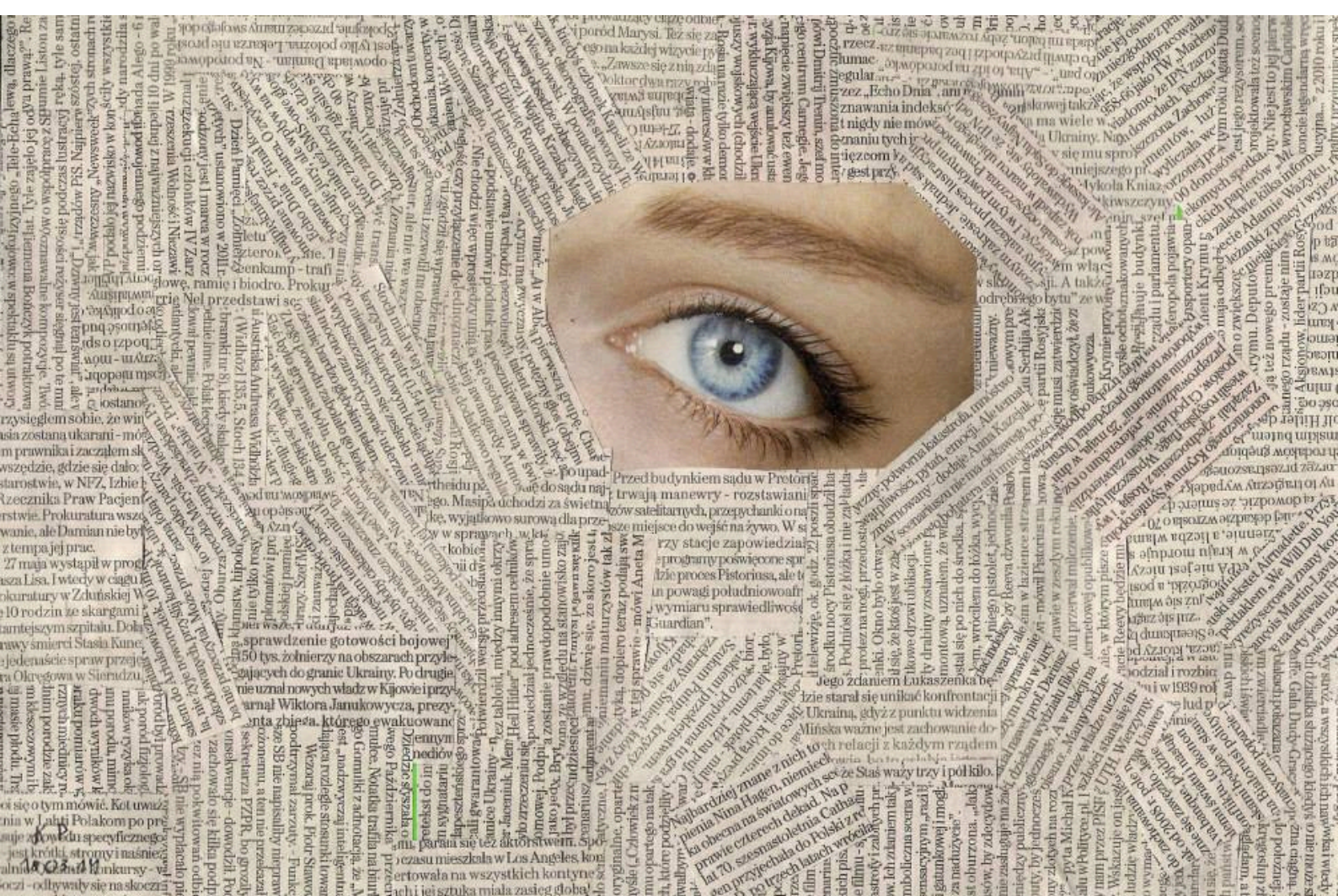




Stanisław Truchan "Mrozoodporni"

Fahrenheit Crew

Zimno.

Coraz zimniej.

Nad ośnieżonymi turniami Ninchen Tangla ani chmurki. Kopuła czystego, mroźnego błękitu. I słońce, które – zdawałoby się – wcale nie grzeje.

Yan Fu wzdrygnęła się. Nawet jej, nie ulegającej własnym słabościom i gardzącej cudzymi, mróz coraz bardziej zaczynał dokuczać. Pozostałe dziewczyny nadrabiały miną, starając się sprawiać wrażenie twardych, nieczułych na przenikliwy ziąb – ale Yan Fu widziała, że mają dość.

- Jeszcze godzina drogi – powiedziała uspokajająco.

Nie zareagowały. Wciąż poruszały się jak dobrze zaprogramowane roboty. Może bały się jej drwiącego uśmiechu? Nie chciały, by im przypomniiała, że im wyżej, tym zimniej, więc ona, o głowę wyższa, powinna być bardziej zmarznięta, a jednak nie narzeka? Tym razem jednak Yan Fu nie była w nastroju do żartów. Naprawdę zmarzła. A przecież była odporna na zimno. Zahartowało ją ciężkie dzieciństwo w dalekim Hegangu, niedaleko rosyjskiej granicy, gdzie średnia temperatura stycznia wahała się między piętnastoma a dwudziestoma stopniami mrozu. Ale ta odporność, wbrew pozorom, miała granice. Dzisiejszy dzień dał się jej we znaki tak samo jak podkomendnym – tym, które czasem nazywała wychuchanymi lalkami z Harbinu.

Oczywiście, podobnie jak ona, nie były to wychuchane lalki, a twarde baby. W niemowlęctwie porzucone przez rodziców, którzy za wszelką cenę pragnęli męskiego potomka, a do urodzenia kolejnego dziecka nie mieli prawa. Odnalezione, odkarmione i wytresowane jak policyjne psy. Odwykłe od litowania się nad sobą i nad innymi. Twarde jak stal. Wszystkie z północnego wschodu, z najgorszych dzielnic Harbinu, Jiamusi, Yichun... Bez krewnych i przyjaciół; rodziną był dla nich oddział i ci, którzy wydawali mu rozkazy...

Głową tej rodziny był generał Tan Hao. Człowiek od spraw ściśle tajnych. On wyznaczał oddziałowi zadania, na jego biurko trafiały meldunki. Bezpośrednie rozkazy pochodziły od jego podwładnych. Niedawną wyprawą na pustynię Xinjiangu kierował major Yang Zhenhua. Akcję w masywie Ninchen Tangla nadzorował oficer jeszcze wyższy rangą: pułkownik Wei Lu, prawa ręka generała.

A sprawa była niezwykle ważna. Generał twierdził, że trzeba udaremnić działania szpiegowsko-dywersyjne reakcyjnej kliki Dalajlamy, którą wspierają Amerykanie i Europejczycy. Przed miesiącem Wei Lu w imieniu szefa zwięźle przedstawił sytuację i plan działania. Później w ciągu niespełna godziny skompletowano sprzęt, załadowano do samolotu – a potem był długi lot nad pustynią Ordos, jeziorem Kuku-nor i Tybetem. I chwywanie wiatru na stokach gór.

Niezależnie od efektów, jeden fakt został z góry rozstrzygnięty: nie ma żadnych yeti. To tylko tubylcze legendy. Reakcyjna klika Dalajlamy i wspierający ją gweilo¹⁾ z Ameryki wykorzystują te przesady, by odwrócić uwagę od swoich knowań. Ich agentów trzeba wyłapać jak szczury i dostarczyć do Pekinu, gdzie zostaną osądzeni i ukarani.

Skoro trzeba, to one ich wyłapią. Są w tym wprost morderczo sprawne – dosłownie i w przenośni. Lepsze niż komando Huang Chena, złożone z zabijaków zdolnych gołymi rękami pokawałkować nawet mnichów ze słynnego klasztoru Shaolin. Ale przecież kung-fu to nie wszystko.

Yan Fu wierzyła, że się uda, na przekór początkowym niepowodzeniom. Winni zostaną wykryci i schwytani... chyba że zginą w walce jak ten wichrzyciel z Xinjiangu.

Był świetny. Wprost niesamowity. Kiedy wprawił w ruch wszystkie cztery kończyny naraz, zdawał się nie człowiekiem z krwi i kości, a ulotną pustynną fatamorganą. Nie biegł, nie skakał – po prostu fruwał w powietrzu. Mimo to przegrał. Wystarczyło umiejętnie schodzić z linii ciosu. A gdy na ułamek sekundy znieruchomiał, cienka jak promyk słońca metalowa struna przecięła mu krtań...

Ten Ujgur zasłużył na swój los. Znalazł śmierć w wyschniętym o tej porze korycie Czerczen-darii – i należało mu się. Przewodził grupie dysydentów prowadzących wrogą, antypaństwową działalność. Ich cele były dla Yan Fu niezupełnie jasne... może zamierzali oderwać prowincję od Chin, może tylko usunąć z niej rdzennych Chińczyków... W każdym razie byli niełojalni wobec prawowitych władz. Byli zdrajcami.

Po śmierci przywódcy wyłapano ich jednego po drugim. Yan Fu wykonała dobrą robotę. Generał był zadowolony.

A tamtego gweilo nie ukarano. Posiedział sobie w celi bez okien, po czym – dwa miesiące po starciu w wyschniętym korycie rzeki – został wydalony. Nie spadł mu ani jeden włos z głowy. Z brody, wąsów i mocno otłuszczonego torsu też nie.

Gweilo był facetem w średnim wieku. Nie wiadomo, a w każdym razie Yan Fu nie miała o tym pojęcia, czym zajmował się u siebie w San Francisco. Do Chin przyjechał jako przedstawiciel jednej z wielu tamtejszych organizacji, które mają w nazwie prawa człowieka czy też demokrację. Do Xinjiangu wybrał się nielegalnie. Kontakt z ujgurskimi wichrzycielami nawiązał już wcześniej. Przekazywał też na Zachód wiadomości szkalujące chińskie władze. Okazał się przy tym – może on, a może jego ujgurski wspólnik, ten mistrz kung-fu – wyjątkowo sprytny: nie wiadomo kiedy zniknął z Wulumuqi, nie wiadomo jak znalazł się w Qiemo, by znów zniknąć bez śladu,

To właśnie Yan Fu odkryła miejsce jego pobytu. Do kryjówki Jankesa doprowadził ją, sam o tym nie wiedząc, pewien młody Ujgur, naiwny gołowąs pracujący dla dysydentów. Kalifornijczyk nie miał pojęcia, że z odległości dwustu metrów śledzą go szkła lornetki polowej. Siedział pod rachitycznym drzewkiem rozebrany do rosołu i unosił nad głowę duży blaszany garnek, by wylać na siebie strumień wody – chyba co najmniej dziesięć litrów. Był pierwszym tak mocno owłosionym mężczyzną, jakiego zdarzyło się jej widzieć. Gęsta czarna broda, nierówno przycięte wąsy... a na brzuchu i klatce piersiowej, od granatowych bokserów po dołek między obojczykami, prawdziwa dżungla. Albo coś, co wyglądało dokładnie tak, jak Yan Fu wyobrażała sobie dżunglę.

Schwytanie gweilo – tuż po śmierci ujgurskiego mistrza kung-fu – było rzeczą dziecinnie łatwą. W ogóle nie stawiał oporu. Kilka dni później był już w Pekinie. Po miesiącu wsadzono go do samolotu odlatującego na wschód, na drugi brzeg Pacyfiku. A po upływie paru tygodni, w koszarach, niespodziewanie się jej przyśnił, dokładnie taki, jakim go zobaczyła wtedy w Xinjiangu: otyły, mokry i niewiarygodnie kudłaty.

Ciekawe, ile by wytrzymał na takim mrozie? W tych bokserkach, w gumowych klapkach, polany zimną wodą?

Wzdrygnęła się. Znów.

- Już widać obóz – odezwała się idąca tuż za nią Pen Liping. Yan Fu skrzywiła się; tamta zauważyła mimowolny ruch ramion i pewnie myśli, że to z zimna...

Machnęła ręką.

- Kilometr w te czy we wte, co za różnica? – mruknęła.

- Reszta drużyn też wraca – dodała Pen.

- To dobrze.

Wbrew pozie, jaką przybierała wobec podwładnych, Yan Fu odczuła jednak w tym momencie prawdziwą ulgę.

Gdy drużyna znajdowała się o sto metrów od ledwo widocznej, zamaskowanej wartowni, na ścieżce jak spod ziemi wyrosła Zhang Weiwei, dowodząca drużyną wartowniczą.

- Rozmawiałam z pułkownikiem – zameldowała. – Ma się połączyć z nami za dwie godziny. Chyba w związku z tym, co znalazłyśmy w jaskini.

*

Dongri milczał, wpatrując się w nieduży przedmiot leżący płasko na jego dłoni. Wyglądał jak ktoś, kto uprawia starą, przedpotopową sztukę wróżenia z ręki i właśnie zamierza przepowiedzieć przyszłość samemu sobie.

- To już lada dzień – odezwał się w końcu, kładąc aparat na stole. – Wiecie... Ja nie bardzo potrafię to sobie wyobrazić. To wszystko tutaj... Zawsze czułem się tak, jakby poza tym światem nic więcej nie istniało. Jakby opowieści naszych ojców były po prostu historyjkami wymyślonymi po to, by się nie nudzić w długie zimowe wieczory.

- Nic dziwnego – powiedział Kukti. – Minęło dwieście czterdzieści lat.

- Tutejszych lat – przerwał mu Yongdi, jak zwykle precyzyjny aż do bólu. – Będziesz musiał nauczyć się inaczej mierzyć czas. Co ma swoje zalety, bo rok czterystudniowy jest lepszy od takiego, który ma dni... – zawahał się na chwilę.

- Trzysta sześćdziesiąt pięć – przypomniał mu Kukti. – Mistrz Bagbi się chyba w grobie przewraca.

- Nieważne.

- Tak czy owak, to nienormalne, zgadzam się z tobą. – Kukti skrzywił się. – Tego ich roku nie można nawet sensownie podzielić na miesiące, nie to, co u nas.

- To jeszcze nie jest „u nas” – przypomniał mu Dongri.

- Ale już niedługo tam wrócimy.

- Wrócimy! – prychnął Yongdi. – Przecież nigdy nas tam nie było. Wrócić mogliby nasi przodkowie... gdyby żyli. A my? Kim tam będziemy? Egzotycznymi dzikusami. Takimi, którzy nic nie umieją, niczego nie rozumieją i w ogóle lepiej by było ich trzymać w klatce, żeby czegoś nie spieprzyli.

- Wolisz zostać tutaj? – Kukti gwałtownie wzruszył ramionami. – Kryć się po jaskiniach i bezczynnie czekać, aż reszta starego sprzętu i broni się rozsypie? Dzięki Bogini mamy szansę powrotu do cywilizacji...

- Dzięki Bogini... jak mawiają ateści – mruknął Dongri, spoglądając na niego z ukosa. Dla nikogo nie było tajemnicą, że wiara Kuktiego w Wielką Matkę Wszechświata jest co najmniej problematyczna.

Kukti zignorował aluzję. A młody przywódca grupy – w chwilach wisielczego humoru nazywanej hordą – przez chwilę milczał, drapiąc się po gęsto owłosionym policzku, by po chwili podjąć myśl Yongdiego.

- No dobra... Przylecą, załadują nas do kabinek z łódeczkami, a potem hop! wystartujemy. Na lądowisku w Omenge będzie czekał komitet powitalny. Może nawet przyjedzie sam... No, ten, kto tam u nich teraz rządzi. Każdemu wręczą snopek gałązek... eee... No, tego ciemnoczerwonego kretorośla z odrostami w kolorze wisiorka babci Gom. No więc dostaniemy po bukiecie... i co potem?

- Potem będziemy żyć jak normalni, cywilizowani ludzie. – Kukti nie tracił pewności siebie. – W domach, nie w jaskiniach. I nie będziemy żadnym tubylcom kraść zwierząt domowych, żeby zjeść trochę mięsa. Ani porywać tubylczych kobiet, żeby nie mieszać w kółko tych samych genów.

- Kukti, pomyśl tylko! – jęknął Yongdi. – My się nie nadajemy do życia wśród cywilizowanych ludzi! Już ci mówiłem: niczego nie umiemy! Mamy jakieś blade pojęcie o technologii sprzed dwustu lat, i tyle. Poza tym nic nie wiemy o tamtym świecie, o życiu ludzi... Będziemy jak ślepe dzieci we mgle!

- Yongdi ma rację – powiedział Dongri. – Ale przecież, kiedy tamci już przylecą, nie powiemy im: „Chłopcy, nie gniewajcie się, my zostajemy”. A potem... Będzie ciężko, ale jakoś będzie.

- Pewnie że jakoś będzie – powiedziała Gom, babka Dongriego, wyłaniając się zza skórzanej zasłony oddzielającej część mieszkalną jaskini od kuchni i spiżarni. Wnuk jak zwykle uśmiechnął się, słysząc jej zabawny akcent, którego w ciągu kilkudziesięciu minionych lat nie potrafiła się wyzbyć. – A teraz chodźcie na obiad.

Posłusznie wstali i ruszyli za nią. Kobieta, uśmiechając się dobrotliwie – co sprawiało, że siatka drobnych zmarszczek wokół jej skośnych oczu stały się dwa razy gęstsza niż zwykle – wniosła glinianą wazę z parującą zupą i postawiła przed nimi talerze z chińskiej porcelany. Dongri po raz nie wiadomo który musiał przyznać, że cywilizacja Starej Ziemi, chociaż niewiarygodnie zacofana, dokonała jednak wynalazków zasługujących na uznanie. Ot, choćby ta biała, niemal przezroczysta glina pokryta glazurą... Niby nic, a cieszy oczy.

Albo tkanina, z której uszyto suknię babki. Tutejsi byli mniej odporni na niskie temperatury; wystarczyło spojrzeć na bezwłose twarze, na skąpe, ledwo widocznie owłosienie przedramion, by poczuć to coś, co tubylcy nazywali „gęsią skórą”. Ci ludzie nie potrafiliby żyć bez odzieży; może gdzie indziej, ale nie w tych górach, nie w tym surowym klimacie. Skoro jednak musieli chronić się przed chłodem, potrafili z konieczności uczynić sztukę. Jedwab – substancja wytwarzana zresztą w klimacie znacznie łagodniejszym – był naprawdę piękny. Oczywiście suknia z tej tkaniny nie zabezpieczała wystarczająco przed zimnem; w temperaturze, jaka panowała w jaskiniach, tubylec musiałby opatulić się kozuchem z owczych skór. To jednak utrudniałoby pracę i dlatego babcia Gom opinała swoją jedwabną szatę elastyczną uprząż termizera – urządzenia od zamierzchłych czasów używanego na Nowej Ziemi, rzecz jasna tylko w zimie, gdy temperatura nawet w słoneczne popołudnie nie wzrastała powyżej punktu topnienia wody, i tylko wtedy, gdy ktoś musiał spędzić wiele godzin poza domem.

Jednak nawet wtedy nikt tam nie musiał chodzić w butach, jak babcia Gom. Tutaj zresztą też nosili je tylko tubylcy. Potomkowie przybyszów byli wystarczająco odporni na zimno, by nie zawracać sobie głowy chronieniem stóp przed temperaturami, jakie przez większą część roku panowały w tych niebotycznych górach, gdzie przyszło żyć już ósmemu pokoleniu rozbitków.

Dongri oderwał wzrok od fałdów jedwabiu, z których wyłaniała się pomarszczona dłoń babki, i nagle zauważył, że zasłona w wejściu do kuchni faluje. Zmarszczył brwi.

- Kto tam? – zawołał.

- Nie bój się, Dongri, to nie myśliwi – usłyszał głos ciotki Dorten. – Kyompi ma do was jakąś sprawę. Chciał wiedzieć, czy już skończyliście jeść.

- Przecież możemy chyba rozmawiać przy stole? – zdziwił się Dongri. – Na pewno nikt się nie udławi. A oni już są po obiedzie?

- Nie mam pojęcia. Ale... Dobra, zaraz go zawołam.

Niedoszły przywódca społeczności rozbitków, który przed rokiem zrezygnował z kandydowania na rzecz Dongriego, był wyraźnie w złym humorze.

- Chłopaki, coś mi się zdaje, że ktoś z was ma przedwczesną sklerozę... – zaczął.

- Chcesz zupy? – przerwała mu bezceremonialnie babka, podchodząc z talerzem i łyżką.

- Już jadłem... ale nie pogardzę – odpowiedział Kyompi po chwili wahania. – Ty tu w tej kuchni tworzysz prawdziwe arcydzieła.

Gom postawiła przed nim talerz i poszła po kolejną wazę, a nowoprzybyły przez długą chwilę milczał, wodząc oczami od twarzy do twarzy.

- Brakuje jednej płytki z filmem – powiedział w końcu. – Miał ją ktoś od was.

Dongri zmarszczył brwi.

- A co konkretnie zginęło?

- Nagranie Exodusu, sygnatura TB-014.

Przywódca pokiwał głową. Faktycznie, przed niedawną przeprowadzką nagranie Exodusu o tej sygnaturze znajdowało się w rękach kogoś z sekcji 7. Oprócz niego samego, Yongdiego i Kuktiego, w grę wchodziły jeszcze dwie osoby, chwilowo nieobecne.

Zauważył, że Yongdi kręci się niespokojnie.

- No? – zachęcił go.

- Tak, ja to miałem. Musiałem zgubić przy pakowaniu. Może jeszcze jest w tamtej jaskini?

Kyompi pokręcił głową.

- Sprawdziliśmy. Przed nami byli tam tubylcy. Patrol z kobiecego oddziału.

- Ale przecież oni nie potrafią tego przekonwertować! Nie mają możliwości technicznych! – powiedział Yongdi. Jego błagalne spojrzenie wprost krzyczało: „No, powiedzcie, że tak! Że niczego się nie dowiedzą!”

- Yongdi, zasady są proste: takich śladów nie zostawiamy – przypomniał Dongri. Żał mu było przyjaciela, ale powiedział, co musiał powiedzieć; był przywódcą, a to zobowiązuje.

- No wiem... – Yongdi spuścił głowę.

- Dobra, ze skóry cię nie obedrzemy. Ale od dzisiaj jesteś objęty specjalnym nadzorem. Szczegóły ustalę po obiedzie.

- Dzięki... - Szept winowajcy zabrzmiał niewiele donośniej niż szmer oddechu niemowlęcia.

*

Nie ma to wpływu na wykonanie zadania, ale warto, żebyś zobaczyła.

Tak powiedział pułkownik. O co mu chodziło? Czy to miało być takie łaskawe „Masz, dziewczyno, zobacz, co znalazłaś w tej jaskini.”? A może jednak coś więcej?

Prostokątna płytką wykonana była z substancji nieznanej pekińskim ekspertom od chemii przemysłowej; pewno jakiś tajny patent amerykański. Fakt, że ten niepozorny przedmiot był nośnikiem jakiegoś zapisu cyfrowego, odkryto po czterech dniach. Półtora tygodnia trwało jego rozszyfrowanie. A teraz Wei Lu przysłał jej wyniki pracy pekińskich informatyków: w sumie nic szczególnego, jakiś film science-fiction upozowany na reportaż.

Wyglądało to jak wprawka warsztatowa studenta szkoły filmowej. Najpierw atletycznie zbudowana kobieta przemierzała rozległy plac wyłożony kwadratowymi płytami, a za nią podążało czterech równie wysokich i muskularnych mężczyzn oraz drobna, rudowłosa nastolatka – wszyscy objuczeni ciężkimi plecakami. Mężczyźni nieśli jeszcze metalowy pojemnik z czterema uchwytami na rogach. Potem grupa wsiadała do czegoś, co przypominało statek kosmiczny. Towarzyszył tej scenie huk eksplozji i czerwone rozbłyski na horyzoncie; czyżby szóstka przyszłych kosmonautów uciekała przed wrogiem szturmującym miasto, którego strzeliste budynki widać było na drugim planie? Dla Yan Fu nie było to jasne; słów wypowiedzianych przez bohaterów filmu nie rozumiała, nie potrafiła nawet rozpoznać języka, wiedziała tylko, że nie był nim angielski. Zanim pojazd wystartował, kamera zarejestrowała jeszcze chmurę dymu, która wyrosła w miejscu, gdzie przed sekundą wznosiła się konstrukcja przypominająca sylwetkę Dongfang Mingzhuta²⁾.

A później było lądowanie. Rakieta miękko osiadła na ziemi, a wokół niej w ciągu paru sekund stopniał śnieg, odsłaniając burą glinę. Nieco dalej widać było ciągnące się aż po horyzont zarośla. Najazd kamery pozwolił obejrzeć je z bliska. Dziwne rośliny, których kopulaste kępy otaczały miejsce lądowania, nie były podobne do niczego, co Yan Fu kiedykolwiek widziała. Ta flora nie przypominała ani mandżurskiej tajgi, ani roślinności ujgurskich oaz, ani lasów porastających stoki niewysokich gór w okolicach Guilinu.

Yan Fu doszła do wniosku, że to dekoracja. Scenografia sporządzona na użytek filmu. Podobne rośliny w naturze nie występują. Gałązki obrosnięte szpilkami podobnymi do jodłowych, w różnych kolorach, od żółci do fioletu – coś takiego można zrobić tylko w fabryce. Na przykład tej harbińskiej, która produkuje podłączane do prądu sztuczne choinki ze świecącymi końcówkami igieł, oczywiście na eksport.

Uwagę dziewczyny przykuł jeden charakterystyczny szczegół. Bohaterowie filmu, z wyjątkiem rudowłosej dziewczyny, byli gęsto owłosieni. Twarze zarośnięte po same oczy, futro na przedramionach i na wierzchach dłoni... Wyglądali jak małpy. W porównaniu z nimi nawet gweilo schwyty w Xinjangu mógł uchodzić za wydepilowanego, tylko trochę niedokładnie.

Czyli fantastyka. Coś podobnego do Armageddonu albo historyjek o inwazji Marsjan. Szkoda, że język nierozumiały i nawet generał nie znalazł nikogo, kto by go znał.

W ostatniej scenie filmu mężczyzna o owłosionej twarzy i przedramionach, wyraźnie zmarznięty w koszuli z krótkim rękawem, długo patrzył prosto w obiektyw kamery. A potem pojawiły się

niezrozumiałe napisy w nieznanym alfabecie.

*

Mężczyzna o dość skąpo owłosionej twarzy i przedramionach, wyraźnie zmarznięty w koszuli z krótkim rękawem, długo patrzył w obiektyw kamery. A potem pojawiły się napisy.

Buzumbdi wstał i wyłączył odtwarzacz. Zadanie domowe mógł uznać za odrobione. Profesor Madiram z pewnością będzie usatysfakcjonowana jego wiedzą o archaizmach z epoki Exodusu. Szanse na wyższą ocenę za trzeci okres wyraźnie rosną. Teraz można by obejrzyć koniunkcję dwóch księżyców...

Wyszedł na korytarz i stanął na wprost otwartych drzwi pokoju Kaldiriego. Młodszy brat, od trzech dni umierający ze strachu na myśl o sprawdzian z biologii, zaabsorbowany był właśnie kwestią rozmnażania kreto-rośli.

- Skąd się wzięła nazwa kreto-rośli? Pamiętasz? - zapytała matka, która najwyraźniej postanowiła sprawdzić wiedzę chłopca i przy okazji podnieść małego panikarza na duchu.

- Od takich zwierzątek, które żyły na Starej Ziemi - powiedział drżącym głosem Kaldiri. - To były ssaki, prawie zupełnie ślepe. Drażyły tunele w glebie, tak jak kobboty i munnaty.

- Bardzo dobrze - pochwaliła go matka. - A co to są kobboty i munnaty?

- Ga-ga-gamety, czyli komórki ro-ro-rozrodcze kreto-rośli - wyjąkał chłopiec. Buzumbdi miał wrażenie, że młodszy brat za chwilę się rozplacze.

- Świetnie. Dlaczego się tak denerwujesz?

- Nie wiem. - Głos dzieciaka zabrzmiał tak smutno, jakby mu ktoś właśnie zabrał ulubioną zabawkę.

- Przecież jesteś naprawdę dobrze przygotowany do tego sprawdzianu. Na pewno też wiesz, dlaczego kobboty i munnaty powstają pod ziemią?

- Bbbo... na-nawet w lecie t-temperatura na powierzchni jest za niska, by mogły dojrzeć?

- Mhm. A w jaki sposób kobboty i munnaty odnajdują się w korytarzach, które drążą?

- Wysyłają ultradźwięki. I fale kobbota mają inną częstotliwość niż fale munnata...

Buzumbdi dyskretnie, na palcach, ruszył do drzwi wejściowych. Biedny Kaldiri, pomyślał. Minął już rok od wypadku, któremu uległ chłopiec, rany dawno się zagoiły - a ta przeklęta nerwica nie mijała. Psycholog twierdził, że wszystko jest na dobrej drodze, ale zmian na lepsze jakoś nie było widać.

Wieczorny mrok za progiem powitał Buzumbdiego lekkim podmuchem wiatru. Noc nie była zimna; to przecież ostatnie godziny wiosny, o tej porze roku przymrozek zdarza się tylko nad ranem. Wcześniej, w ciągu dnia, padał mokry, topniejący śnieg. Było ciepło, po południu aż pięć stopni w stustopniowej skali Din-Gazariego, teraz wciąż jeszcze dwa i pół. W świetle księżyców płyty starego, zimowego śniegu lśniły bielą. Za ogrodzeniem, w kępie kreto-rośli, kłaskał emrel - niewielki błękitny ptak, którego przednie skrzydełka były śnieżnobiałe, a tylne jaskrawoczerwone. Na granatowej kopule nieba mrugały gwiazdy.

I jeszcze to, co starszego z braci wyciągnęło z domu o tej porze. Zjawisko możliwe do zaobserwowania tylko w taką noc jak dzisiejsza, gdy kończyła się jedna pora roku, trwająca równe

sto dni, a zaczynała kolejna. Koniunkcja księżyców, Sorrana i Bollona. Trzeci, Makkon, dopiero wschodził; okrążał on planetę najwolniej spośród nich i brał udział w koniunkcji tylko w noc końca roku, a zarazem końca zimy. Jednak i koniunkcja Sorrana i Bollona zasługiwała na to, by stać bez ruchu z zadartą głową i patrzeć...

Zwłaszcza jeśli było się synem kosmonauty i kandydatem na kosmonautę.

Ojciec Buzumbdiego i Kaldiriego był teraz na drugim końcu galaktyki nazywanej poetycko Mleczną Drogą. Jego statek krążył po orbicie wokół dużej planety otoczonej pierścieniem księżyców i asteroidów. Nad inną planetą, położoną bliżej tamtejszego słońca, wisiała bezzałogowa sonda; za jej pośrednictwem załoga kontaktowała się z kimś, kto przebywał na powierzchni owego globu.

Buzumbdi był naprawdę dumny z tego, że jest synem uczestnika pierwszej od dwustu czterdziestu lat – i drugiej w historii – wyprawy na Starą Ziemię. Tam, gdzie kiedyś zaginęli uczestnicy pierwszej ekspedycji.

A przecież niewiele brakowało, by ojciec został w domu. Ten doświadczony eksplorator kosmosu gotów był odrzucić propozycję dyrektora Sekcji Lotów Pozaukładowych ze względu na młodszego syna. Dopiero sam Kaldiri go przekonał: „Tatusiu, ty powinienesz lecieć, powiedział, jeżeli nie ty, to kto? Chłopiec zapewniał, że przez ten czas na pewno nic mu się nie stanie, a nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby z jego powodu ojciec zmarnował taką szansę. I pan Gombazi w ostatniej chwili zmienił zdanie.

Ciekawe, jak wyglądają tamci? Żyją na Starej Ziemi od dwustu czterdziestu lat; czy bardzo się zmienili? W załodze zaginionego statku była tylko jedna kobieta, panowie podobno uzupełniali braki na miejscu...

Cierpliwości, niedługo się dowiesz, uspokoił Buzumbdi sam siebie. Oparł się o ścianę, założył gogle i wpatrzył się w światło dwóch księżyców, które właśnie tej nocy ustawiły się w jednej linii.

*

Łzy. Pierwsze od wielu lat. Łzy bezsilnej złości. Upokorzenie boli bardziej niż rany.

Wcześniej Yan Fu była przekonana, że jest u celu. Że pomyślnie zakończenie akcji to kwestia jednego szybkiego uderzenia. Wróg odsłonił się, odrzucił stosowane do tej pory środki ostrożności. Wszystko wskazywało na to, że tajemnicza grupa ukrywająca się w masywie Ninchen Tangla zmierza na południowy zachód, w kierunku Lhasy. A więc wywrotowcy – zapewne wyposażeni w nowoczesny sprzęt przysłany przez tych perfidnych gweilo z Zachodu – prawdopodobnie zamierzają dokonać dywersji w samej stolicy regionu. Zachodni dziennikarze pewnie już czają się do skoku, czekają jak sępy na padlinę. Pułkownik – choć Yan Fu nie będzie mu udzielać rad, nie uważa się przecież za mądrzejszą od szefa – powinien zaproponować rządowi zamknięcie Tybetu dla cudzoziemców...

Oddział wyruszył z samego rana. Wszystko szło zgodnie z planem. Przeciwnik był bez szans. Można było się spodziewać, że – zgodnie z zaleceniami pułkownika – kilku dywersantów uda się ująć żywcem. Yan Fu już po godzinie wiedziała, że tamci zatrzymali się w miejscu, w którym łatwo ich będzie otoczyć, niedaleko od stromego podejścia na przełęcz. Trzeba tylko działać sprawnie, nie dopuścić do chaotycznej strzelaniny.

- Oni nie kryją się między tamtymi skałkami? – zapytała Peng Liping.

- Tam prowadzą ślady – przytaknęła Yan Fu.

Jeden rzut okaz wystarczył, by ocenić sytuację.

- Tyralierą! – Rozkaz był najbardziej lakoniczny z możliwych. Dziewczyny doskonale wiedziały, jak przeprowadzić ostateczny atak.

A potem nagle wszystko zaczęło się psuć. Były oślepiające błękitne błyski i świszcząco-syczące dźwięki jak przy odpalaniu fajerwerków. I uczucie osłabienia, zupełnie jakby mięśnie nóg stały się nagle kłębkami waty. Yan Fu przez chwilę myślała, że to już noc, ale to tylko pociemniało jej w oczach. Było przecież dopiero wczesne popołudnie.

Chyba zdążyła jeszcze kilka razy wystrzelić w kierunku czyjejś rozmazanej sylwetki.

Gdy się ocknęła, leżała na miękkim śniegu. Nad nią pochylał się dwumetrowy stwór pokryty gęstą rudawą sierścią. Jego lewe ramię krwawiło, ale nie zwracał na to uwagi. Z twarzy – owłosionej, ale o rysach jak najbardziej ludzkich – spoglądały na Yan Fu oczy o szarzielonych tęczówkach. Dziewczyna gotowa była przysiąc, że potwór się z niej śmieje.

Istota pochyliła się i bez wysiłku wzięła ją na ręce.

- Zmykaj stąd, księżniczko – powiedziała poprawnym mandaryńskim, sadzając Yan Fu na tandetnych plastikowych sankach z napisem Made in China. Pojazd ruszył. W kierunku przeciwnym do tego, z którego przybył oddział. Szybciej niż mogłyby się poruszać jakiekolwiek sanki przy tym nachyleniu terenu.

A z góry, jak grzmot odległej burzy, dobiegł huk eksplozji. Tam, na wysokości dwustu metrów, jeszcze sekundę wcześniej znajdował się bezałogowy śmigłowiec wyposażony w georadar najnowszej generacji, wykrywający ślady przykryte warstwą świeżego śniegu. Maszyna powróciła na ziemię w postaci bezkształtnych kawałków żelaza i plastiku, stygnących z głuchym sykiem w zimnym górskim śniegu.

Dość! To było wczoraj. Nie warto rozpamiętywać porażki. Nie warto też się zastanawiać, czy jej raport wysłany do pułkownika mijał się z prawdą w jednej czwartej, czy aż w połowie; tak czy owak, nie mogła przecież umieścić w nim niczego, co brzmiało jak wiejska klechda.

Nie warto też zastanawiać się nad nocnymi koszmarami, w których znów zobaczyła kudłatego gweilo, a ten niespodziewanie przeistoczył się w dwumetrowego stwora pokrytego rudą sierścią... i długo patrzył na nią z uśmiechem na włochatej twarzy.

Swoją drogą, ten sen był naprawdę irytujący. I dziwnie niepokojący. Był jednym z tych, do których raz po raz wraca się pamięcią, a wspomnienie burzy spokój ducha.

Ale to teraz nieważne. Trzeba po prostu wykonać zadanie. I na pewno się uda; akcja jest przygotowana znacznie lepiej niż ta wczorajsza.

Yan Fu otarła oczy wierzchem dłoni. Znów była twarda jak skała himalajskiej turni i gotowa do skoku jak przyczajony tygrys.

Wyciągnęła z kieszeni aparacik wielkości standardowego telefonu komórkowego i dała reszcie oddziału sygnał do rozpoczęcia akcji.

A laury zgarnie Huang Chen, pomyślała ze złością. Ale będzie się puszył! Parszywy knur!

Niestety, tak zdecydował pułkownik. Komando Huanga ma zamknąć pierścień okrażenia od strony

południowego zachodu. A jeśli celem dywersantów jest Lhasa...

Nieważne. Trzeba robić swoje. Choćby przyszło wspiąć się na ten cholerne skały na czworakach. Ale przecież ci dywersanci nie kryją się na szczytach. Na pewno schowali się znacznie niżej. Tam podobno są jaskinie. Tak samo jak w innych miejscach, które oddział zdążył spenetrować.

Nie uciekną. Nie wymkną się. Wei Lu błyskawicznie podjął decyzję o dobrojeniu komanda, wysłał helikopter z zaopatrzeniem, tamci będą mieli do wyboru kapitulację lub śmierć. Dobrze byłoby przejąć ich sprzęt. W Pekinie rozłożą te cudzy zachodniej technologii na czynniki pierwsze, z pożytkiem dla państwa.

Tylko ten cholerny śnieg... Zaczyna się odwilż, ciężko iść pod górę, zapadając się w półpłynnej brei. Ale nie z takimi trudnościami oddział potrafił się uporać. Będzie dobrze.

A jednak szkoda, że Huang na tym skorzysta.

No dalej, naprzód... Zaraz... Co się dzieje?

Krzyk. To Peng Liping.

Yan Fu uniosła głowę. I stanęła twarzą w twarz z czymś, wobec czego miała okazać się bezradna jak niemowlę.

Oderwana od skalistego podłoża masa bieli sunęła w dół, złowrogo szumiąc.

Śnieg w oczach. Śnieg za kołnierzem. Śnieg w ustach.

Drobne kamyki kaleczą twarz.

Uderzenie w głowę.

Ciemność.

*

Kapitan Gombazi wyłączył komputer.

- I tak to wygląda, Dongri - powiedział. - Sporo się zmieniło od tamtych czasów, jak widzisz. Dwieście czterdzieści lat to cała epoka. To, czego dowiedzieliście się od waszych przodków, już jest... nie do końca aktualne. Chyba spodziewałeś się tego, prawda?

- Oczywiście. - Gość dowódcy przytaknął ledwo zauważalnym ruchem głowy. - Ale widzę, że tych zmian nie było aż tak dużo. Myślałem, że będzie gorzej.

- No to w porządku. Łatwiej się zaadaptujecie. A czy tam - kapitan wskazał gwiazdy po drugiej stronie iluminatora - zachowały się jakieś wiadomości o czasach Exodusu?

Dongri wzruszył ramionami.

- Nic nieznaczące strzępy. Raczej legendy niż fakty. Prawie nikt tego zresztą nie traktuje poważnie, poza wyznawcami różnych doktryn ezoterycznych. Tak przynajmniej twierdziła pani Uken, a ona była naprawdę odczytana. Wiem, że zachowały się zniekształcone nazwy obu państw, które wtedy o mało nie rozwały całej planety. Z Ummu-Muri-Olomo zrobiło się Mu. Jak beczenie tego rogatego zwierzęcia. Tubylcy chyba nazywają go jakimś...

- A Talan-Dalan-Dadi?

- Pani Uken mówiła... ale już zapomniałem. Coś na A. At? Atal?

- Nieważne. Jak sobie przypominasz, to mi powiesz.

- A jak nasz... jeniec? - Dongri nagle zmienił temat.

Gombazi spojrzał na niego spod oka.

- No no. Nasze dziewczyny przeżyją chyba ogromny zawód... A swoją drogą, chyba już rozumiem, dlaczego dałeś się postrzelić...

*

Sufit o barwie stali kołysze się niebezpiecznie. Chyba zaraz spadnie. Ale najpierw oderwie się od niego lampa świecąca słabym, przytłumionym światłem.

A uciec się nie da. Nie można poruszyć ręką ani nogą. Co się dzieje?

Aha, lawina. Przysypał ją śnieg. W takim razie to nie lampa, a słońce. Ale jeśli tak - to czemu niebo jest takie płaskie?

Głos. Ktoś coś powiedział. Yan Fu nie potrafiła rozróżnić słów.

Drugi głos, wyraźniejszy. Obcy, nieznany język. Odgłos kroków.

- No jak, żyjesz? - To ten pierwszy głos. Tym razem słowa brzmią znajomo. To już nie tamten język, to najzwyczajniejszy mandaryński.

- Żyjesz, Yan Fu? - powtarza głos.

Mówiący wreszcie znalazł się w polu widzenia. To on. Ten włochaty stwór, który wczoraj kazał jej zmykać. I nazwał ją księżniczką.

Mówi po mandaryńsku całkiem przyzwoicie jak na takiego kudłatego małpoluda. I w dodatku chyba umie czytać. Bo skąd mógłby znać jej nazwisko, jeśli nie z dokumentów?

Ta włochata skóra absolutnie nie wygląda na kamuflaż. To prawdziwe futro.

Yeti?

Pułkownik powiedział, że yeti nie istnieją.

- Gdzie ja jestem? - wyszeptała.

- Na statku kosmicznym „Koa-Dimi” - usłyszała. - Niestety, twoje rany wymagały przeprowadzenia operacji, a my musieliśmy startować. - Zawahał się i dodał: - Tylko ciebie udało nam się wydobyć spod lawiny.

A więc jej morderczo sprawne komando nie wykonało zadania. Pozostało na zawsze w górach Ninchen Tangla. To koniec.

- Teraz odpocznij - powiedział łagodnie futrzak. - Później ci wszystko wyjaśnię dokładnie. Masz

przecież prawo wiedzieć, co się stało.

Przyszła następnego dnia. O ile to rzeczywiście była kolejna doba; Yan Fu nie miała pojęcia, jak długo spała. W każdym razie sen ją pokrzepił, bardziej nawet niż lekki posiłek przyniesiony wcześniej przez siwiejącą kobietę o twarzy pokrytej gęstą siatką zmarszczek. W śnie pojawił się owłosiony gweilo schwyty w Xinjiangu, a potem w okamgnieniu stał się tym jeszcze bardziej owłosionym „yeti” z opatrunkiem na lewym bicepsie... I ten sen nie miał w sobie nic z koszmaru.

Na jawie „yeti” wciąż miał opatrunek. Ślad po pierwszym spotkaniu, ślad po jej kuli. A w prawej dłoni trzymał przedmiot, który wydał jej się znajomy. Niedużą prostokątną płytkę.

- Znaleźliście coś takiego w jaskini, prawda? - zapytał uśmiechając się.

Potwierdziła lekkim skinieniem głowy.

- Czy waszym elektronikom udało się odczytać obraz i dźwięk?

- Tak.

„Yeti” przysunął sobie krzesło i usiadł przy jej łóżku.

- To musiało kosztować sporo pracy, nasza technologia jest znacznie bardziej zaawansowana. W walce od początku byliście bez szans... Ale to nie my wywołaliśmy lawinę, to wy same. A wracając do płytki... Na pewno wszyscy myśleliście, że to film science-fiction, prawda?

- A to nie był film? - zapytała.

- Oczywiście, że film - roześmiał się. - Ale nie fabularny. Dokumentalny. Zapis początków naszej cywilizacji. Dla nas coś w rodzaju świętej księgi.

Nie mogła uwierzyć w to, co mówił. Brzmiało naprawdę jak fabuła filmu science-fiction. Niesamowita historia sprzed paru tysięcy lat. Opowieść o dwóch wielkich cywilizacjach: Ummu-Muri-Olomo i Talan-Dalan-Dadi. O ich rywalizacji, która w końcu przerodziła się w otwartą wojnę.

I o straszliwej pysze ludzi cywilizowanych. O tym, jak porywano barbarzyńców, ludzi z leśnych plemion, żyjących na poziomie neolitu, by dokonywać na nich eksperymentów. O pomysłowych, niewyobrażalnych dla człowieka XXI wieku, ale łamiących wszelkie zasady manipulacjach genetycznych, o hodowli osobników, na których później miały być testowane różne produkty przemysłu chemicznego...

- Madakun, ta ruda dziewczyna, była prawdziwym cudownym dzieckiem - opowiadał „yeti”, który nieco wcześniej przedstawił się jako Dongri. - Studiowała biologię molekularną, chemię i astronomię. Eksperymenty, których dokonywał jej profesor, uważała za barbarzyństwo o wiele większe niż to, co opowiadano jej o zwyczajach leśnych plemion. Była jednak bezradna, jak... - Zawahał się, a potem, z przepraszającym uśmiechem, dokończył: - Jak Tybetańczycy wobec was. Gdyby powiedziała, co naprawdę myśli, nikt by jej nie zrozumiał. Uznano by ją za dziwadło albo za niebezpieczną wariatkę.

- I co?

- Finał widziałas na filmie. Doszło do wojny między Ummu-Muri-Olomo i Talan-Dalan-Dadi. Użyto broni masowego rażenia. Pociski przelatywały nad dzisiejszą Afryką, z południowego wschodu na północny zachód albo w przeciwnym kierunku...

- To gdzie leżały te dwa kraje? – zapytała Yan Fu, której przypomniały się zasłyszane kiedyś opowieści o zatopionych kontynentach.

- Ummu-Muri-Olomo na południe od Indii, a Talan-Dalan-Dadi na zachód od Afryki, na północ od zwoznika Raka. I kiedy już dla wszystkich było oczywiste, że w ciągu kilku najbliższych godzin z Ummu-Muri-Olomo nie pozostanie kamień na kamieniu, Madakun wyprowadziła z laboratorium pięć ofiar eksperymentów: ludzi naprawdę inteligentnych, ale trochę zdeformowanych. Chociaż nie aż tak bardzo, mutacje ograniczały się do gęstego owłosienia i szczątkowego ogona. Na kosmodromie wciąż jeszcze stała gotowa do startu rakiet...

- Skąd się tam wzięła?

Dongri wzruszył ramionami.

- A jak myślisz? Przecież oni od dawna latali w kosmos. Wasze programy kosmiczne to raczkowanie małego dziecka w porównaniu z ich osiągnięciami.

- I ta rakiet...?

- Nie wystartowała, rząd postanowił z tym poczekać, aż zakończy się wojna.

- Aha. A co było w tym metalowym pojemniku?

Owłosiony mężczyzna przez chwilę milczał.

- Dwa mniejsze pojemniki – powiedział w końcu. – Do jednego Madakun zapakowała mikrofilmy, na których zgromadzono prawie całą dostępną wówczas wiedzę z różnych dziedzin nauki. Wyniosła je z częściowo już zrujnowanej biblioteki uniwersyteckiej. Tam było wszystko, od fizyki po glaciologię i od schematu budowy wiertarki po plany rakiet poruszającej się z prędkością nadświatłową. A do drugiego... Słyszałaś o klonowaniu?

- A dlaczego miałam nie słyszeć? – obruszyła się. – Owieczka Dolly...

- To dobrze. U was sklonowano owcę, a tamci potrafili sklonować człowieka. W drugim pojemniku byli... nasi przodkowie. W postaci komórek poddanych manipulacjom genetycznym. My wszyscy jesteśmy potomkami tej szóstki z kosmodromu i ludzi urodzonych z tamtych sklonowanych komórek. Bo widzisz... Ta rakiet miała lecieć właśnie na Nową Ziemię. Planetę wcześniej odkryły sondy bezzałogowe.

Yan Fu przez chwilę intensywnie myślała.

- Czyli te manipulacje genetyczne... To dlatego macie futra?

Dongri skinął głową.

- Tak. W dodatku geny, dzięki którym je dziedziczymy, to geny dominujące, więc nawet pochodząc od babci Gom... Nie wiem, czy...

- Rozumiem – weszła mu w słowo. – Uczyłam się biologii.

- Aha. A więc... Dzięki tym futrom wytrzymujemy na Nowej Ziemi. Nie ma tam takich mrozów jak w Himalajach, ale temperatury rzadko bywają dodatnie. Mimo to nie używamy ubrań. Jesteśmy bardziej odporni niż wy – roześmiał się. – Chociaż miałem okazję zauważyć, że twoja wytrzymałość jest naprawdę imponująca.

Przez kolejne kilkanaście minut opowiadał o planecie swoich przodków – takiej, jaką znał z filmów i z przekazów pozostawionych przez przodków. O trzech księżycach świecących jaśniej niż ziemski, o śniegu, który nigdy nie topnieje do końca, o ptakach obdarzonych dwiema parami nóg i skrzydeł, o pomarańczowych mchach, o fioletowych paprociach wielkości dłoni dziecka i o krzewach, które wydają nasiona pod ziemią. I to już nie była sucha, beznamietna relacja, jak do tej pory. Potomek uciekinierów z Ummu-Muri-Olomo mówił teraz żarliwie i z pasją. Odsłonił się, pozwolił, by zawładnęły nim emocje. Uczucia człowieka, który należał do ósmego już pokolenia marzącego o powrocie do utraconego raju.

- Dopiero po wielu wiekach postanowiono sprawdzić, co się dzieje na Starej Ziemi – dokończył. – To był pierwszy od czasów Exodusu lot z prędkością nadświatłą. Niestety podczas lądowania doszło do katastrofy. W dodatku szefowie naszego programu kosmicznego byli przekonani, że statek rozbił się gdzieś w okolicach planety, którą nazywacie Jowiszem. Nie odbierano sygnałów wysyłanych przez radiostację rozbitków, bo miała jakąś usterkę, którą udało się naprawić dopiero w kilkanaście lat później. Tak więc nikt z tamtej załogi nigdy już nie zobaczył swojej rodziny. W końcu ostatnio jakaś sonda bezzałogowa odebrała nasz komunikat... Resztę już znasz.

Tak, znała tę resztę. Ta reszta to osiem pokoleń żyjących jak Robinson Cruzoe. Marzących o tym, że pewnego dnia pojawi się ktoś z Nowej Ziemi i zabierze ich z powrotem. I wreszcie, po latach, pierwszy kontakt...

Nikt z tamtej załogi nigdy już nie zobaczył swojej rodziny.

Tak samo jak ona. Tylko że przodkowie Dongriego zdążyli te rodziny przedtem poznać. I potem przynajmniej ktoś za nimi tęsknił. Pamiętano o nich, zapewne uważano za bohaterów, pionierów postępu. Tymczasem ona...

- Yan Fu! Ty płaczesz?

Wyjaśniła mu. Opowiedziała o swoim dzieciństwie w Hegangu i o tym, jak trafiła do oddziału. Z twarzą coraz bardziej mokłą od niespodziewanych łez.

Owłosiony kolos, niewiele niższy od Yao Minga, pochylił się i niezdarnie pogładził jej policzek włochatą dłonią. Wtuliła twarz w rude futro i rozszlochała się jak małe dziecko.

1) gweilo (dialekt kantoński) - zamorski diabeł; pochodzące z XIX w. pejoratywne określenie białych ludzi

2) Dongfang Mingzhuta - wieża telewizyjna w Szanghaju, znana też jako Oriental Pearl